

Paweł Kaczorowski: Auctoritas non veritas facit legem. Tomasz Hobbes i Carl Schmitt o władzy i prawdzie

Hobbes dla Carla Schmitta to jeden z głównych partnerów dialogu, prowadzonego ponad wiekami, dialogu o polityce, państwie i prawie, o nowych czasach i człowieku w nich zapętlonym, w nie uwikłanym. Hobbes dla Schmitta to „bratnia dusza”, powinowaty z wyboru – pisze Paweł Kaczorowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Hobbes. W cieniu Lewiatana”.

Tomasz Hobbes w swej filozofii nadał wielu sentencjom i formułom nowoczesne znaczenie (nie zawsze będąc ich autorem). Przypomnijmy je: suwerenność to dusza państwa; *homo homini lupus est; bellum omnium contra omnes; in foro externo – in foro interno...* Należy do nich także słynna hobbesowska teza głosząca autorytatywnie, iż to *auctoritas, non veritas, facit legem*. Pojawiła się ona w łacińskiej translacji *Lewiatana* wydanej w 1670 roku, a więc już po całej serii wielkich konfliktów, które przetoczyły się u progu czasów nowożytnych przez Europę Zachodnią. Pojawiła się po wojnach religijnych we Francji, po wojnie osiemdziesięcioletniej, trzydziestoletniej, w czasach trwającej jeszcze rewolucji angielskiej, a więc w Europie zniszczonej, wynędzniałej, obolałej, którą nadal trawiły niezgoda, wrogość, agresja, w Europie, w której w najlepsze toczyła się już mająca swe apogeum w wieku XX gra tego świata.

Na taką scenę ludzkiego dramatu patrzeć można rozmaicie. Teologowie, humaniści – jak Morus lub Erazm – nie porzucili dawnej wiary i poszukiwali nadal istniejącej gdzieś w tle, poza bieżącymi wydarzeniami, stałej struktury, którą – widocznie poddaną niepamięci – należało odnowić, zreformować, przypomnieć, odszukać jej dawny sens. Także niektórzy filozofowie, jak Leibniz, próbowali ułożyć wzorzec dowodów politycznych dla uspokojenia sporów zwaśnionych stron. Inaczej Hobbes, który uznał, że to, co się jawi, bezpośrednio, naocznie, w swej nagiej faktyczności to nowa rzeczywistość. Świat ludzki ukazuje całkiem nowe oblicze, odsłania niejako swą podszewkę, ukryte dotąd podłoże, ujawnione dopiero przez kryzys. Podłożem tym jest chaos.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

W kontekście takiego zasadniczego rozpoznania wspomniana teza Hobbesa mogła stanowić adekwatny opis szczególnej pozycji nowej władzy publicznej w nowym ustroju politycznym, czyli w państwie, ale zarazem na pewno jej ogłoszenie oznaczało początek końca dawnej epoki, tej, w której obowiązywała zasada przeciwna, głosząca, że to właśnie *veritas, non auctoritas, facit legem*. Polityka to dzieło prawdy. Tak przecież uważali i Platon, i Arystoteles, i św. Augustyn, i św. Tomasz. Zasada ta obowiązywała dotąd nieprzerwanie przez stulecia, przez całe epoki dziejów, starożytną i średniowieczną, obowiązywała tam, gdzie – a wszędzie dotąd tak było – obowiązywał *ethos, nomos, tora, ordo...*, a więc odwieczny, wprzód dany porządek, który jednostka zastawała i w którym należało się odnaleźć, który był też

obrazem świata wspólnoty, do której przynależała, a jego wspólna świadomość stanowiła dla zbiorowości tej zasadniczy element wspólnej tożsamości. Zasada ta poddająca politykę prawdzie obowiązywała dotąd zawsze i wszędzie; zawsze i wszędzie dotąd polityka obejmowała bowiem niewielki zakres działań podejmowanych przez auctoritas, zakres działań wpisanych w Prawdę, czyli ów większy, wyższy, nadrzędny porządek rzeczy.

Ale czy chaos rozbijający dawny ład był tylko niespodziewaną okolicznością historyczną, nagłą odsłoną ukrytych dotąd realiów, które dla mieszkańców Europy w XVI wieku stanowiły nowe brzemie? Nie, to epokowe wydarzenie nie było czymś jednowymiarowym, przypadkowym, miało swą przyczynę. Wynikało z nowoprzyjętej wobec świata postawy człowieka, który chce ukazać swą indywidualność, oryginalność, odmienność. Jest to postawa buntu, niezgody, nieprzyjęcia, odrzucenia... zastanego porządku, który zaczął w końcu dławić, ograniczać, hamować. Hamował człowieka, który z kolei, wbrew dawniej ćwiczonym cnotom: pokorze, posłuszeństwu, bojaźni..., zapragnął nareszcie poczuć swą siłę, przekonać się o niej, doświadczyć jej. Chciał ją zobaczyć jako siłę kreatywną, twórczą, w jej spełnieniach, dokonaniach. A zwłaszcza zobaczyć ją ucieleśnioną w największym teraz z ludzkich dzieł – w państwie.

Na tle dawnego obrazu świata formuła głosząca, że *auctoritas facit legem* brzmi jak faustowskie zaklęcie, jak bluźnierstwo wręcz. Posługiwanie się nią można jednak usprawiedliwić. Odzwierciedla ona bowiem wspomnianą szczególną pozycję, nową pozycję władzy publicznej znajdującej się w relacji skrajnie asymetrycznej wobec jej poddanych. Władza jest w metafizycznym znaczeniu poza i ponad jednostką, jednostkami, grupami... Góruje nad nimi w takim oddaleniu,

które w zasadzie komunikację między stronami czyni niemożliwą. Poddany nie ma statusu, który uprawniałby go do uzyskania jakiegokolwiek wiedzy o działaniach władzy, sposobie jej sprawowania, o jej celach i zadaniach. Władza nie ma jakichkolwiek zobowiązań wobec poddanych do samo prezentacji. W takiej sytuacji ocena praw stanowionych przez władzę, ocena w kategoriach prawda–fałsz, zupełnie nie wchodzi w grę. Władza występuje i stanowi prawo z pozycji meta, której osąd poddanych nie sięga. Jest więc dla nich tylko *auctoritas*.

Ale można także powiedzieć o hobbesowskiej zasadzie inaczej. W świecie chaosu, a więc takim, w którym nie panuje już powszechnie żaden *ethos, nomos* ani *ordo*, władza – jedna, nadrzędna – nie ma się do czego odwołać, bo nie ma już, jak widać, żadnej jednej, nadrzędnej racji, racji, która byłaby wspólna dla wszystkich. Władza musi być więc suwerenna, samoistna, musi być niejako poza dobrem i złem, bo nie ma jednej idei, z którą może się złączyć, której może się poddać. Wspólna dla wszystkich może być jedynie władza... jako władza, zdobyta, utrzymana, pewnie dzierzona. Wspólna, nadrzędna to znaczy jedynie: wszystkich sobie podporządkowująca, potężna, niepodzielnie panująca, władza po prostu.

Czy jednak ta nowa, suwerenna władza bierze się naprawdę z niczego, czy istotnie jest pozbawiona etycznego tła, źródła, legitymizacji? Nie, ona posiada i przedstawia swą legitymizację (vide Bodin, Bossuet, Suarez...). Ale na tej legitymizacji się nie opiera. Nie opiera, bo gdyby legitymizacja ta była w oczach poddanych faktycznie jej źródłem, podstawą, to ten, kogo prawda legitymizująca władzę nie przekonuje, mógłby uznać tę władzę za bezpodstawną, uzurpatorską, miałby prawo ją odrzucić. Jeżeli więc władza ta ma być władzą, jedną, nadrzędną,

pewnie działającą, to musi taką możliwość wykluczyć, legitymizację uznać za rzecz wtórną (choć będzie się nią kierować) i być władzą jako taką, samą władzą, czyli... przemocą, przymusem.

Hobbesowską formułę często przedstawia się jako kwintesencję pozytywizmu prawniczego. Pozytywizm prawniczy to pogląd głoszący, że prawo jest jedynym zespołem norm mających w państwie ważność, norm obowiązujących powszechnie i pewnie. Żadne inne normy ani idee, ani zasady, czy to pozaprawne, czy związane z prawem jako wplecione w jego treść, takiej ważności nie mają. Ważność, cechę swoistego prawnego *sollen*, mają tylko normy prawa rozpatrywane jako samoistne, dane, autonomiczne w swym prawnym charakterze, normy ustanowione przez władzę państwową, którymi się ona samookreśla. Prawo nie ma odniesienia ani do państwa, ani do polityki, ani do społeczeństwa, nie jest bowiem czymś dla..., a tylko czymś istniejącym dla samego siebie, odrębną, sobie właściwą sferą przedmiotową, którą prawnik bada, tj. precyzuje i systematyzuje. Pogląd ten ma różne wersje, zależnie od tego, czy formułują je Carl Friedrich von Gerber i Paul Laband, czy Georg Jellinek, czy też Hans Kelsen. Jego główna myśl sprowadza się jednak właśnie do absolutyzacji znaczenia norm prawa pozytywnego i ich autonomizacji w państwie, które przybiera wówczas postać osoby prawnej albo systemu norm prawnych.

Skoro zaś tak, to zapytajmy: a co wtedy z samą władzą państwową, która prawo stanowi? Jaką ona ma ważność? Co należy sądzić, na przykład, o tym słynnym My – Naród, czyli podmiocie konstytuującym? Jeśli wziąć za podstawę prawniczy pozytywizm, to owo pojęcie będące zasadą nie ma ważności jako odnoszące się do władzy stanowiącej konstytucję, choć przecież jest to władza realna. Nie ma ważności jako filozoficzna lub nawet teologiczna idea, ani jako realność polityczna,

Podmiot mający świadomość wyrażającą się w słowach My – Naród, jako byt przed-konstytucyjny, ma znaczenie polityczne, historyczne, ale nie ma żadnego związku z prawem, a więc z tym, co jest synonimem treści obowiązujących powszechnie i pewnie w państwie

ani jako byt historyczny. Nie ma ważności dopóki konstytucji nie ustanowi i dopóki w niej, nią się nie samookreśli. Dopóty więc pod względem ważności swej jest niczym, zaś konstytucja w tej sytuacji dobywana jest z...niczego i stanowi swoiste *creatio ex nihilo*. W

tym to sensie My – Naród nie stanowi żadnej prawdy, jest sloganem, jest tylko hasłem, dopóki nie znajdzie się w tekście konstytucji, lecz wtedy ma już tam własne swoiste „konstytucyjne” znaczenie. Podmiot mający świadomość wyrażającą się w słowach My – Naród, jako byt przed-konstytucyjny, ma owszem znaczenie polityczne, historyczne, ale znaczenie to nie ma żadnego związku z prawem, a więc z tym, co jest synonimem treści obowiązujących powszechnie i pewnie w państwie.

Hobbes dla Carla Schmitta to jeden z głównych partnerów dialogu, prowadzonego ponad wiekami, dialogu o polityce, państwie i prawie, o nowych czasach i człowieku w nich zapętłonym, w nie uwikłanym. Hobbes dla Schmitta to „bratnia dusza”, powinowaty z wyboru. Świadczy o tym znana monografia o symbolu Lewiatana, mnóstwo odniesień w pracach i mnogość notatek w dziennikach jurysty z Plettenbergu. Także więc hobbesowska formuła ma dla Schmitta

istotne znaczenie, a w jego teorii znajduje swe miejsce i kolejną interpretację. Wielu badaczy powie w tym miejscu o decyzyonizmie. Nie bez racji, ale zacznijmy po kolei.

Schmitt jest zdecydowanym przeciwnikiem pozytywizmu prawniczego i koncepcji państwa prawa, nawet tej, o jakiej pisał Friedrich Julius von Stahl (szczególniej, w której to nie państwo ma być poddane i pasować do prawa, ale prawo ma pasować do państwa). Jest przeciwnikiem, gdyż choć ważne jest zarówno *law*, jak i *order*, to jednak uważa on, że najpierw musi zapanować *order*, polityczny *order*, aby można było dopiero w takiej sytuacji i w tych ramach stanowić *law*. Inaczej: uważa on, że koncepcja państwa prawa zakłada określone warunki historyczne, społeczne, a zwłaszcza polityczne, w których może ona dopiero mieć zastosowanie. Prawnicy państwa prawa grzeszą więc brakiem samowiedzy o warunkach możliwości teorii i nieświadomie zatem prowadzą bardzo ryzykowną grę pod hasłem *fiat iustitia perat mundus*. Jeszcze inaczej mówiąc: są w dziejach każdej społeczności, zbiorowości momenty przełomowe – rewolucje, wojny domowe, kryzysy, które nie są chwilowymi zakłóceniami postępującego stale równomiernie i rytmicznie rozwoju, ale momentami zwrotnymi, przełomowymi, decydującymi o przyszłości, momentami, w których ustalony zostaje dalszy kierunek i cel rozwoju. W takich momentach wszystko co dawne się waży, a stare pojęcia nabierają nowych znaczeń. Tego nie widzą prawnicy państwa prawa, a jeśli nawet widzą, to tylko jako burdy, rozruchy, jako gwałcące porządek normatywny wdarcie się w sferę publiczną historii, polityki, populizmu i partyjniactwa, wdarcie, które trzeba powstrzymać, przeczekać. Taką postawę charakterystyczną dla prawników państwa prawa nazwie Schmitt prawniczym autyzmem.

Chcąc nadać tej kontrowersji wyższą rangę można powiedzieć, że... w filozofii idzie o rozpoznanie istoty rzeczy, bytu, ale także o rozpoznanie właściwego ładu sfer rzeczywistości, sfer bytu rozpoznanych w ich istocie. Chodzi jednak jeszcze o coś innego, o wskazanie miejsca, gdzie człowiek najbardziej, najpełniej, najbliżej styka się z rzeczywistością, najbardziej źródłowo, bezpośrednio jej doświadcza. I na przykład dla Kanta będzie to *Bathos der Erfahrung*, dla Hegla działanie w historii, a dla Marxa praca. Stosując to do opisywanej kontrowersji można powiedzieć, że dla (przekonanych, a nie fałszywych, pozujących) prawników państwa prawa rzeczywistość *par excellence* to ta widziana przez pryzmat zbioru norm prawnych, które rzekomo odsłaniają wewnętrzny ład życia społecznego (ład, który – jak powie Schmitt – zburzyć może jedna nowa decyzja normodawcy). Jest to więc rzeczywistość unormowana ogólnymi, abstrakcyjnymi ustawami, ustalona, przewidywalna, w której kryzysów, przełomów nie ma. Natomiast dla Schmitta rzeczywistość to polityczność, czyli polityka rozumiana – w skrócie – jako społeczny *élan vital*, *plebiscite de tous les jours*, społeczna obecność *idée incotestable*, a więc jako ekspresyjne życie, napiętności i sytuacje graniczne, jako burzliwa egzystencja zbiorowa. Dokonując takiego „wyboru” w postrzeganiu rzeczywistości, Schmitt będzie miał niewątpliwie po swej stronie Hobbesa, który także wydarzeniom naładowanym emocjami zbiorowymi, społeczną energią, wyrażającym bezkompromisowe dążenia, wydarzeniom bezpośrednio, „na własnej skórze” przez ludzi doświadczanym, nadał rangę pierwszeństwa w hierarchii tego co rzeczywiste.

Uspokojenie, normalizacja, a więc warunki dla stanowienia prawa, dla tworzenia porządku prawnego mogą zaistnieć dopiero wtedy, gdy sytuację chaosu zdominuje (nie zawsze i wcale nie tylko militarnie) najsilniejszy podmiot polityczny. I to on stanowić będzie ową

auctoritas, która *facit legem*. To on dokona też w potrzebnej skądinąd konstytucji głównych... rozstrzygnięć, nie ustanowienia ustaw, bo te mogą być zawsze zmienione i są generalizujące (nie odnoszą się do konkretnych sytuacji), ale rozstrzygnięć, trwałych, systemowych, zasadniczych, których nie można podważyć bez podważania pozycji podmiotu, który ich dokonał. Rozstrzygnięć tych (np. że Niemcy są republiką) nie uzasadnia żaden pogląd, doktryna, którą można byłoby uznać za prawdziwą (lub nie). One wynikają z politycznego jestestwa dominującego podmiotu, wypływają z jego wnętrza, stanowią element jego zbiorowej tożsamości. Na tym więc, a nie na ich prawdzie (którą skądinąd można wykazywać, dowodzić), opiera się w rzeczywistości ustrojowej ich ważność. Tak właśnie – opiera się ona na tym, iż służą narodowi.

Decyzje polityczne, np. o wprowadzeniu stanu wyjątkowego, ale także inne ważne, są także rozstrzygnięciami (*die Entscheidung*), a więc przesądzeniami. Odnoszą się do konkretnych sytuacji i konkretnych kwestii, ale przede wszystkim mają subiektywny, poniekąd, autorski charakter. Nie są czysto rzeczowe, neutralne. Jest tak dlatego, że z żadnego zbioru nawet fachowych ekspertyz decyzja ta nie wynika, żaden taki zbiór decyzji nie wygeneruje. Ekspertyz jest wiele, wychodzą z różnych założeń, przyjmują inne kryteria, formułują różne wnioski. Mogą one i powinny stanowić dla decyzji podstawę, ale decyzja niesie w sobie wartość dodatkową, stanowi twórczą ich syntezę i rozpoznanie istoty przedmiotu sporu. Decyzja musi być tylko jedna i ostateczna. I dlatego może ją podjąć tylko egzystencjalny podmiot, podmiot osobowy – suweren. W tym sensie i ona wynika z... niczego, to znaczy nie wynika z niczego innego jak tylko z dokonanego przez suwerena wglądu w istotę życia społecznego, z jego wycucia przemian, rozumienia pulsu życia i społecznych imponderabiliów.

A powracając na koniec do hobbesowskiego *Lewiatana* należy przypomnieć, że kwestią, która najbardziej intrygowała Schmitta, było pytanie o powody klęski potwora morskiego – dlaczego jego potęga uległa destrukcji? Wiadomo, pochłonęły go fale liberalizmu. Ale dlaczego on im uległ?

Prof. Paweł Kaczorowski



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego